

Dlaczego kochamy końce świata?

5 stycznia 2015

Jak co roku nadchodzi czas podsumowań politycznych, gospodarczych czy kulturalnych. Jak co roku też nasz świat miał się skończyć – i to parokrotnie. W nowym roku 2015 nie będzie inaczej. W ciągu ponad 300 dni znowu będziemy się zastanawiać co zmiecie z powierzchni ziemi ludzkość i cały znany nam świat.

Rok 2014 pod względem zapowiedzi końców świata może nie był tak spektakularny jak 2012, kiedy miała nastąpić zagłada zapowiedziana przez Majów, czy 2000, kiedy prawie doszło do buntu maszyn, a cała nasza cywilizacja miała cofnąć się do czasów sprzed rewolucji przemysłowej. Niemniej jednak i w mijającym roku nasza ukochana planeta była zagrożona – i to co najmniej trzy razy. Wedle niektórych naukowców burza na Słońcu miała doprowadzić do całkowitego energetycznego blackoutu. Niektórzy łowcy sensacji powtarzali za pewnym naukowcem z Cambridge, że życie na Ziemi zniszczy w czerwcu 2014 roku kosmiczna chmura kwasowa. Najciekawiej jednak wypadły zapowiedzi mitycznego Ragnarök. Podczas tej wersji końca świata miało nastąpić wielkie starcie pomiędzy bóstwami z legend nordyckich a olbrzymami. W wyniku gwałtownych walk miało dojść do zupełnej destrukcji naszego świata i krain zamieszkałych przez bogów. Wielkie starcie mitycznych bohaterów przypadało na 22 lutego – jak widać nic się jednak nie stało, a my nadal żyjemy. Śmiało można zatem zacytować Andrzeja Sapkowskiego, że koniec świata nie nastąpił, ale i tak było zabawnie. I podobnie będzie w 2015 roku.

Już w kwietniu dojdzie do krwawego zaćmienia księżyca. W najbliższym roku zakończy się bowiem cykl czterech zaćmień Księżyca, fachowo nazywany tetradą. Zaćmienia te będą bardzo widowiskowe, ponieważ dzięki specyficznemu ułożeniu Ziemi,

Słońca i Księżyca, satelita będzie emanować krwawym blaskiem. Wodą na młyn zwolenników tej zapowiedzi może być sama Apokalipsa św. Jana, gdzie czytamy, że w dniu zagłady „stanie się wielkie trzęsienie ziemi i słońce stanie się czarne jak włosienny wór, a cały księżyc stanie się jak krew. I gwiazdy spadną z nieba na ziemię.” Tetrada nie jest jednak niczym niezwykłym: miała miejsce już w latach 2003-2004, a w całym XXI wieku wydarzy się jeszcze sześć razy.

Tworzeniu nowych zapowiedzi końca świata niewątpliwie w nowym roku będą sprzyjać przybywające na świecie punkty zapalne. Konflikt na Ukrainie, rosnące napięcia między USA a koreańskim reżimem niewątpliwie przesuną wskazówkę zegara zagłady na za pięć dwunasta. Podobne nastroje będzie też pewnie wzbudzać aktywność dżihadystów w Iraku i Syrii. Szczególnie, że już wczesnochrześcijańscy apologety, jak Hipolit Rzymski, Wiktoryn z Petawium czy Laktancjusz, zapowiadali nadejście Antychrysta, który narodzi się właśnie w tym regionie. Ten ostatni pisał chociażby, że „powstanie król z Syrii, zrodzony ze złego ducha, burzyciel i niszczyciel rasy ludzkiej, który zniszczy to, co zostało pozostawione przez poprzednie zło, razem z nim samym”. Widzimy zatem, że rok 2015 też minie nam pod znakiem „pełzających” końców świata. Pewnie żaden nie dojdzie do skutku, podobnie jak w latach poprzednich, ale już sam fakt, że ludzie tworzą kolejne, każe nam zadać pytanie o siłę i swego rodzaju magię tych przepowiedni: dlaczego tak bardzo kochamy końce świata?

CZEKAJĄC NA ZBAWIENIE

To, że koniec świata do tej pory nie nastąpił, wydaje się nie przeszkadzać wszelkiej maści katastrofologom. Wojny, anomalie klimatyczne, trzęsienia ziemi czy kryzysy ekonomiczne to tylko dowód na to, że nadchodzą czasy ostateczne, a po nich nastąpi przyjście Zbawiciela. Takie myślenie jest zresztą osadzone głęboko w chrześcijaństwie oraz tradycjach judaistycznych. Wiara w paruzję, czyli ponowne przyjście Mesjasza, zrodziło tradycje milenarystyczne, które często w odmiennych formach

trwają do dziś. Sam millenaryzm u swych korzeni wiązał się z wiarą w magiczną, boską moc liczb. Chrześcijanie wierzyli, że koniec znanego nam świata nastąpi w okrągłym roku, co wiązało się m.in. z kilkukrotnym określeniem Królestwa Bożego jako tysiącletnie (Apokalipsa św. Jana).

Warto zaznaczyć, że wcześni chrześcijanie wierzyli, że koniec nadejdzie za ich życia. W Ewangelii św. Łukasza Jezus mówił bowiem, że „nie przeminie to pokolenie, aż się wszystko stanie, Niebo i Ziemia przeminą, ale moje słowa nie przeminą”. W związku z tymi słowami pokolenie Jezusa było przekonane, że to ono jest święte, wybrane i wytrwale szykowało się do paruzji. Mijały jednak lata, a koniec nie następował. Św. Piotr tłumaczył, że jeden dzień dla Pana to dla nas może być tysiąc lat. Wczesne chrześcijaństwo zatem dalej trwało i szykowało się do ponownego powitania Mesjasza. Czasy na jakie przypadał rozwój nastrojów paruzyjnych szły ponadto w parze z dramatycznymi wydarzeniami dla ludności żydowskiej: cała Judea była pod okupacją rzymską, a nastroje antyrzymskie obecne były już w czasach Chrystusa. W ciągu stu lat od jego śmierci nastąpił zresztą swoisty koniec znanego Judejczykom świata. W 70 roku Rzymianie stłumili powstanie Żydów, niszcząc zgodnie z przepowiednią Jezusa Jerozolimę i Świątynię. Pół wieku później stłumione zostało powstanie Bar-Kochby, skądinąd też uważanego za mesjasza, a dla Żydów rozpoczął się wielowiekowy czas tułaczki.

Znany im świat się skończył, ale rzymska cywilizacja trwała dalej. Funkcjonowało i rozwijało się też chrześcijaństwo, które powoli, ale skutecznie przeszczepiało na grunt rzymskiej kultury swój zestaw wartości i wierzeń, w tym wiarę w apokalipsę. Idea końca świata nie była jednakże obca Antykowi – już pierwsze cywilizacje przekazywały sobie podania o możliwym upadku gwiazd czy wielkim potopie, który już raz utopił świat, i może to zrobić ponownie. Gdy w V w. upadało Cesarstwo Rzymskie, schrystianizowani Rzymianie widzieli początek „czasów ucisku” i nadejście wielkiego końca.

KONIEC NA WYCIĄgniĘCIE RĘKI

Wczesne średniowiecze jako okres nieustających najazdów Hunów, Awarów czy Węgrów sprzyjało pobudzaniu nastrojów millenarystycznych. Czasy panowania Karola Wielkiego odrobinę ustabilizowały sytuację, ale po rozpadzie jego imperium w 843 roku Europa znowu pogrążyła się w ogniu bratobójczych walk i najazdów, m.in. wzbudzających trwogę wikingów. Myślom o końcu świata zaczęły sprzyjać klęski głodu czy zarazy. Kronikarze zaczęli masowo odnotowywać anomalie klimatyczne i dziwne zjawiska, jako znaki zbliżającego się końca. Tradycja ta, narodziwszy się w IX-X wieku, przetrwa jednak i w późniejszych czasach i nie obca będzie choćby naszemu Janowi Długoszowi. W wielu kronikach widzimy zatem obok krwawych gwiazd maszerujące tłumy nagich i głodujących szaleńców, wraz z szarańczami akty kanibalizmu, a morza krwi towarzyszyły klęskom urodzaju. Europa w przededniu końca pierwszego tysiąclecia była na wskroś przesiąknięta wiarą w koniec świata i to na najwyższych szczeblach władzy. Kulminacją nastrojów był zresztą rok 1000, którego apokaliptyczną wymowę podkreślał w czasie swego pontyfikatu papież Sylwester II. Noc z 31 grudnia 999 roku na 1 stycznia 1000 roku miała być czasem szatańskiego ognia i końca ludzkości. Wedle legendy Rzymianie mieli tego dnia oczekiwać zagłady, a gdy ta nie nastąpiła, hucznie zaczęli świętować to, że udało im się przeżyć kres wszystkiego. Połało się wino, popłynęły życzenia i płacz radości. Nastrojom millenijnym roku 1000 uległ zresztą sam cesarz Otton III, który to właśnie pod wpływem wiary w koniec świat miał przedsięwziąć plan zjednoczenia ludzkości, zamieszkującej jego cesarstwo.

Koniec w roku 1000 nie nastąpił, choć jak pisał Georges Duby był to rok ważny w naszej historii – przełom tysiącleci wprowadził bowiem Europę w okres ponownego ożywienia. Dzieje europejskie z okresu XI-XIV w. idealnie obrazują, że wiara w koniec świata jest integralnie powiązana z sytuacją gospodarczą, polityczną czy społeczną. Tendencje

millenarystyczne są bowiem kultową reakcją na kryzysy, przynoszącą nadzieję w czasach beznadziei. Czasy po XI w. to okres intensywnego rozwoju gospodarczego, kres wyniszczających wojen m.in. we Francji czy Rzeszy, koniec najazdów wikingów i czas formowania się stabilnych państw. Wraz z XIII wiekiem nadchodzą czasy gospodarczej prosperity, rozkwitu kultury i osłabienie nastrojów millenijnych. Oczywiście nie zniknęły one całkowicie. Pewien cysterski opat imieniem Joachim z Fiore głosił bowiem nadejście nowej ery ludzkości opartej na negacji Nowego Testamentu i wierze w wieczną Ewangelię. Datę wyliczył na rok 1260 i mimo tego, że jego poglądy uznano za herezję, znalazł spore grono zwolenników. Historia Joachima z Fiore może być pewnego rodzaju wytłumaczeniem, dlaczego i teraz szukamy co i rusz końców świata – jego prace miały bowiem być odpowiedzią na społeczną chęć zrozumienia dziejów przeszłych i przyszłych i ludzką potrzebę nadziei w obliczu nieuchronnej śmierci.

Dla średniowiecznych nastrojów millenarystycznych szczególne znaczenie miał XIV-XV wiek. Był to bowiem czas wielkich klęsk głodu, wieloletnich wojen, zapaści gospodarczej, a przede wszystkim epidemii czarnej śmierci, która wedle szacunków pozbawiła życia 2/3 ludności ówczesnej Europy. Wraz z wielką epidemią 1348 roku Europą wstrząsał kryzys Kościoła Zachodniego oraz liczne rewolty społeczne. I ponownie mamy do czynienia z sytuacją, gdy na ulice zaczęli wychodzić biczownicy i szaleni wieszczkowie, a z ambon głoszone nadejście Antychrysta, w momencie gdy nasz kontynent przeżywał prawdziwy kryzys. I ponownie millenaryzm okazał się chrześcijańskim sposobem radzenia sobie z kryzysem.

Co znamienne, w Europie Środkowo-Wschodniej, która w tym okresie przeżywała rozwój kulturalny, polityczny i gospodarczy, słabo widoczne są oznaki nastrojów millenijnych. Zmiana nastąpiła dopiero w XV w. wraz z rewolucją husycką. Podczas niej oczekiwano Sądu Ostatecznego, a w między czasie zaprowadzano „ewangeliczne porządki” w Czechach i jednocześnie

grabiono chrześcijan m.in. na Śląsku i Łużycach. Czescy husyci oczekiwali dnia końca, a ich zwycięstwa nad kolejnymi krucjatami wzbudzały wśród Europejczyków strach, że oto nadchodzą czasy ostateczne. Oliwy do ognia dolewał fakt, że na Wschodzie Turcy rośli w siłę i coraz bardziej w czeluść zapomnienia spychali ostatni bastion Imperium Rzymskiego. Na Zachodzie zaś trwała wręcz bratobójcza wojna stuletnia. Husytów pobito jednak pod Lipanami w 1434 roku, Anglicy i Francuzi podpisali traktat pokojowy, a Konstantynopol upadł pod naporem armii tureckiej. Świat bał się, płakał i złowieszczył, ale trwał nadal.

MISTYCY, FAŁSZYWI PROROCY I SYMBOLE

Wraz z reformacją świat europejski wypełnił się całą masą proroków, mistyków i kolejnych wcieleń Antychrysta. Rewolucja jaką w pierwszej ćwierci XVI wieku rozpoczął Marcin Luter ożywiła ludzi do ponownego poszukiwania dnia końca i osób, które zaprowadzą ich przed oblicze Boga. Sam Luter był mocno przepełniony wiarą w Dzień Sądu Ostatecznego. Wielu jego przeciwników, przede wszystkim katolicy, mieli go jednak za wcielenie Szatana. Jego działalność obudziła jednak inne apokaliptyczne demony. Za nowego proroka Daniela uważał się np. Tomasz Munzer, który stanął na czele rewolty chłopskiej w 1525 roku w wymiarze symbolicznym dążącej do wcielenia w życie nowego Królestwa Bożego w obliczu nadchodzącej apokaliptycznej zagłady. Jego poglądy w pokojowej wersji głosił anabaptysta Melchior Hoffmann, który na datę końca znanego świat i powstanie nowego Królestwa Niebieskiego wyznaczył rok 1533. Nie licząc Lutera, ci fałszywi prorocy zazwyczaj marnie kończyli. Głosząc to co głosili nie tylko podjudzali ludzi, ale i negowali powagę państw, a to nie podobało się rządzącym. We wszystkich przypadkach ogromne znaczenie miały jednak liczby. Nie bez przyczyny Hoffmann za datę końca obrał rok 1533, który w oczywisty sposób był związany z wiekiem Jezusa.

Czasy nowożytne dobitnie ukazały silny związek nastrojów millenarystycznych z kryzysami oraz magią liczb i symboliką

końca. Przykładowo angielska rewolucja Cromwella z jednej strony była odpowiedzią na głęboki kryzys w jaki wpadło Królestwo, a z drugiej wynikała z głębokiej wiary w koniec świata. Nie bez przyczyny sam Cromwell uważał się za wybrańca Boga, a jego „ironsides” byli postrzegani jako „święci”, mający umożliwić nadejście „piątego królestwa” przepowiadanego przez proroka Daniela. Gdy w 1649 roku ścięto Karola I Stuarta, w warstwie symbolicznej dla Brytyjczyków świat się skończył i nadszedł nowy porządek. Siła i moc liczb oraz symbolika millenijna co i rusz w następnych dekadach odżywała w okultyzmie, ezoteryzmie czy parapsychologii. W efekcie nawet w czasach triumfu rozumu nad duchem nastroje związane z zapowiadaniem końca świata były silne. Ot przykładowo koniec świata w XVIII wieku wieszczyl na rok 1757 mistyk Emanuel Swedenborg i wraz ze swoimi uczniami oczekiwał nadejścia Królestwa Bożego. W podobnym duchu zresztą niecałe sto lat później działało Koło Sprawy Bożej Andrzeja Towiańskiego. Wiara w powtórne przybycie Zbawcy legła w XVIII/XIX wieku u podstaw wielu grup mistycznych i trwa to do dziś. Romantyzm XIX w. stał się jednocześnie furtką do powstania idei końca świata opartego na wiedzy tajemnej. Nie ma się jednak czemu dziwić, że religijna wersja końca obumarła, gdy na oczach setek ludzi umarł stary porządek świata w toku wielkich rewolucji i wojen epoki napoleońskiej.

Pokłosie odrzucenia niereligijnego, ale mistycznego końca świata widzimy do dzisiaj. Przybiera to formę pasjonowania się wszelkimi pseudonaukowymi teoriami, często jednak w XX-wiecznej historii mającego dramatyczny koniec. Próbuując przyspieszyć oczekiwany koniec wielu sekciarzy często popełniało masowe samobójstwa. Tak stało się np. w 1978 roku w Jonestown w Gujanie, gdzie 900 osób z tzw. Świątyni Ludu za namową swojego „mesjasza” Jamesa Jonesa zażyło truciznę, zaś sam Jones strzelił sobie w głowę. Do dzisiaj rośnie też w siłę Kościół Scjentystyczny, który obiecując wyznawcom nieśmiertelność i usprawiedliwiając przemoc czy kłamstwo w imię własnego przetrwania wzbudza niepokój władz. Jego

działalność jest jednak mocno osadzona w odwiecznej potrzebie zrozumienia własnego końca.

KONIEC JAKIEGO (NIE) ZNAMY

Żadne daty końca świata się nie sprawdziły po dziś dzień. Nielicznie zawiedzeni nadal dowodzą jednak, że koniec właśnie się dzieje. Gdy nie nastąpił wielki kres cywilizacji w 2000 roku wystarczył rok, by ten fakt powiązać z atakiem na WTC i oznajmić, że oto widzimy jak na naszych oczach następuje początek „wielkiego ucisku”. Gdy nie nastąpił koniec zapowiedziany przez Majów ogłoszono, że nastąpił, tylko że w wymiarze mistycznym – koniec 2012 i początek 2013 roku przyniósł zmianę epok, a my wkroczyliśmy w nową erę. Gdzie jednak ten straszny, zmiatający wszystko kres? Tego nikt nie wie i oby nie wydarzyło się to za naszego życia. Nie zmienia to faktu, że póki istniejmy, będziemy szukać końca świata. Mimo swego odziedziczzonego, wyuczonego bądź udawanego racjonalizmu, który nakazuje nam negować nieuchronny koniec, poszukujemy go, przez co chcemy chyba zrozumieć samych siebie, a w czasach kryzysu znaleźć w tym pocieszenie, że to co złe dzieje się na świecie ma swój głębszy religijny, metafizyczny wymiar.

Póki istniejemy będziemy myśleć o końcu świata. Kochamy bowiem te opowieści, tak jak straszne historie przy ognisku. Historiami o duchach dodajemy sobie otuchy, że nasze życie nie kończy się wraz z zamknięciem wieka trumny. Tak samo lubimy przepowiednie końca, bowiem nadają one w pewien pokrętny sposób sens temu wszystkiemu. Koniec świat oczywiście w zależności od czasów przebierać będzie inne formy. Do tej pory kojarzyliśmy go z tym co przynosiła nam religia albo świat natury. Wraz z rozwojem zmieniają się jednak nasze wyobrażenia o zagładzie. Naturalnym stało się tym samym doszukiwanie się kresu świata w kosmosie, gdy tylko ludzkość sięgnęła gwiazd.

A jaką formę przybierze ta wiara w przyszłości? Obecnie, gdy ludzkość nie ma jeszcze głębokich i traumatycznych doświadczeń

z Internetem i wirtualną siecią, trudno wyobrazić sobie koniec świata XXI wieku. Już jednak widzimy nowe oblicza cyberkryzysów, które kiedyś mogą przybrać ogromne rozmiary i tym samym stać się pożywką do stworzenia nowych form końca świata. Zapowiedzą tego był już rok 2000, kiedy powszechna komputeryzacja zaprowadziła ludzi do paniki, że nowe tysiąclecie przyniesie swoisty bunt maszyn. Co może zatem wydarzyć się teraz, gdy prawdziwe ataki hakerów mogą wyrządzić straszne szkody, a w wielu krajach coraz intensywniej postępują prace nad robotami i sztuczną inteligencją? Trudno powiedzieć, ale na pewno w czasach rozkwitu nauki wiara w koniec świata nie przeminie. Zmieni się forma, bo świat nie może już obawiać się statku wikingów zbudowanego z kości czy wielogłowego smoka, który wyjdzie z chmur. Może jednak i chce bać się kosmicznych chmur, meteorytów, nuklearnej zagłady czy epidemii, która zdziesiątkuje całą ludzkość.

Autorstwo: Marcin Sałański

Źródło: Histmag.org

Licencja: [CC BY-SA 3.0](https://creativecommons.org/licenses/by-sa/3.0/)

BIBLIOGRAFIA

1. Besala Jerzy, Tyrani i błążni, Warszawa 2013.
2. Bendyk Edwin, Bunt sieci, Warszawa 2011.
3. Collins Andy, Koniec świata w różnych religiach, wizjach jasnowidzów i naukowców, Katowice 2007.
4. Duby Georges, Rok Tysięczny, Warszawa 1997.
5. Eliade Mircea, Historia wierzeń i idei religijnych, t. 1-3, Warszawa 1988-1995.
6. Guriewicz Aron, Problemy średniowiecznej kultury ludowej, Warszawa 1987.
7. Napiwodzki Piotr, Bliżej, niż ci się wydaje: o końcu świata millenaryzmie i chrześcijańskiej idei, Poznań 2010.

8. Nostradamus. Przepowiednie do roku 2004, pod red. Anny Wasilewskiej, Wrocław 1999.